

NIEWINNIE POSĄDZONY.

Powieść według aktów sądowych. Tłómaczył Felician Dulski.

11

(Ciąg dalszy).

Wolfgang osłupiał i struchlał. Był pewien, że Rivallier śmiertelnie się obrazi, więc obawiał się, żeby nie wynikły z tego następstwa, dotkliwe dla chorego Dossenaua. Ponowne ogarnęło go zdumienie, gdy hrabia bez najmniejszego uczucia urazy, odezwał się niemal ze słodyczą:

— A, panie baronie, to było małe nieporozumienie. Ja udzieliłem panu tylko rady, a nie pełnomocnictwa, więc nie mogę w żaden sposób korzystać z pańskiej propozycji. Natomiast chcę skorzystać w inny sposób z pańskiej uprzejmości. Jestto dawny przesąd, że wygrywa się najłatwiej pożyczonemi pieniędzmi. Bardzo mi się dziś nie powiodło i dużo przegrałem. Jestem pewien, że pożyczone przyjazną ręką tysiąc franków, dadzą mi wygraną. Jeżeli to panu dogadza, proszę o pożyczkę tysiąca franków, a jeżeli przegram, nie będę już dzisiaj próbował szczęścia.

— Bardzo proszę rozporządzać moją gotowością do przysługi.

To rzekłszy, podał hrabiemu banknot tysiąc frankowy, a Rivallier pochwycił go z gorączkowym pośpiechem, co wcale nie licowało z jego dobrem wychowaniem. Wziawszy pieniądze zbliżył się do stołu, i nie zważał już wcale na towarzyszy. Dossenau i Wolfgang usunęli się na kilka kroków. Będąc pewnym, że go tu nikt nie usłyszy, odezwał się Dossenau cicho:

— Coś się tam popsło w państwie króla kolejowego, bo ten Rivallier nie zachowuje się jak prawdziwy szlachcic, mający poczucie godności i dobrze wychowany, ale jak zgrany szuler.

— Ale czyż to może być, żeby mu nawet tysiąca franków brakowało?

— Wszystkie te miliony Mühldorfera opierały się na piasku i nie wątpię, że je wichura jakaś wraz z piaskiem rozwiała. Rivallier się oszukał, polując na nie, a Mühldorfer zawiódł się pewnie na spodziewanych protekcyach zięcia.

Wolfgang przypomniał sobie teraz list Ellinory, w którym donosiła mu o doznanych nieszczęściach. Ellinory nie kochał, miał do niej urazę, ale bądźco bądź nie zapomnił jeszcze namiętnych uniesień, których doznał w jej płomiennych uściskach, więc uczuł teraz niepokój o nią i litość.

Odezwał się też z ożywieniem, nie mogąc utać zaniepokojenia:

— Ależ to niemożliwe, żeby Mühldorfer wszystko stracił i pozostawił córkę jedynaczkę, na łasce zgrywającego się szulera, bez żadnego zaopatrzenia.

Dossenau spojrział z ukosa na Wolfganga, bo mu się to gorące zainteresowanie córką Mühldorfera nie bardzo podobało, to też odezwał się z naciskiem:

— Ta zepsuta, a dumna kobieta, nie zasługuje na współczucie. To lalka, bez serca, bez poczucia godności kobiecej.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale właśnie zbliżył się do nich Rivallier i rzekł z wymuszonym uśmiechem:

— Tym razem i przesąd nie dopisał, pańskie tysiąc franków przegrałem i już dam sobie dziś pokój, nie postawię ani grosza. Mój dług tysiąca franków chciałbym zwrócić baronowi jaknajprędzej, dlatego proszę o łaskawe podanie mi swojego adresu w Nizy.

Dossenau podał adres, Rivallier podziękował, wyjął przedkolejny wizytowy, skreślił na nim słów kilka, wsunął go w kowertę i zaadresował ółwkiem. Ten bilet chciał włożyć do kieszeni, ale jakoś wypuścił go z ręki, tak że upadł na posadzkę, Wolfgangowi pod nogi. Wolfgang spostrzegł, podnosi i mimowoli, jednym rzutem oka, zwracając bilet hrabiemu, ogarnia adres: „Madame Ellinor de Rivallier, villa Nofair Condamine“.

Opuścili kasyno wszyscy trzej i znaleźli się w ogrodzie. Rozmowa jakoś się przerwała na chwilę. Dossenau pragnął pozbyć się towarzystwa hrabiego i już zabierał się do pożegnania, gdy Rivallier odezwał się z gorączkową żywością:

— Może panowie pozwolicie, abyśmy razem spędzili kilka godzin. Niezmiernie miło mi, żeśmy się spotkali. W hotelu paryskim można zjeść znakomitą obiad i napić się wybornego szampana. Jest tam gabinetek, bardzo elegancki a wygodny, gdzie z całą swobodą można się zabawić. Ponieważ ja tutaj dawniej jestem od panów, a przytem na granicy mojej ojczyzny, przeto na mnie spada obowiązek podjąć rolę gospodarza. Wyświadczycie

mi panowie prawdziwą przyjemność, a nawet przysługę, bo w towarzystwie panów zapomnę o dzisiejszym niepowodzeniu.

Dossenau stanowczo odmówił, tłómacząc się tem, że jako rekonwalescent musi jaknajwięcej używać świeżego powietrza, więc pragnie posiedzieć w parku, zanim odjedzie do Nizy. Odjechać też musi wcześniej, bo nie koleją tylko powozem przyjechał.

— Prawdziwie żałuję. Skoro już panowie nie pozwalacie się uprosić, nie mogę być dłużej natrętnym. Tysiąc franków prawdopodobnie dziś jeszcze otrzyma pan, pod swoim adresem w Nizy. Gdybyśmy się już nie spotkali, przyjmijcie panowie serdeczne pożegnanie odemnie i wspomnijcie sobie kiedyś tego, który w waszych oczach popełnił dwie niedorzeczności: jedną w Walramsegg, a drugą dzisiaj — pożyczając tysiąc franków na przegranie. Zapewniam panów, że dzisiejsza niedorzeczność była ostatnią w mem życiu.

Wszystko to mówił gorączkowo, w roztargnieniu, wyciągnął rękę na pożegnanie, uściśnął dłoń Dossenaua i Wolfganga silnie i serdecznie i odszedł prędko.

Wolfgangowi spadł kamień z serca. Towarzystwo hrabiego było dlań tak niemiłe, że musiał wyteżać wszystkie siły, aby się opanować i tego nie okazywać. Przypominały mu się te niedobre przeczucia, jakie go w Nizy ogarnęły, gdy do Monte Carlo wyjeżdżał mieli.

— Cóż myślisz o tym człowieku? — rzekł Dossenau. Widzę, że to nie tylko zgrany szuler, ale już pełen rozpacz, nad przepaścią stojący człowiek.

Wolfgang nie odpowiedział, smutny był i zamyślony. Znowu mu przed oczyma stanęła Ellinor i żal go zdjął wielki, że przykuta do takiego człowieka, będzie miała życie złamane. Nie kochał jej, ale też zapomnieć nie mógł. I nic dziwnego. Uniesienia, doznane w uścisku Ellinory, były pierwszymi w życiu Wolfganga, a takich porywów młodzieńczych nie łatwo zapomnieć, choćby i myśl i serce zwróciły się ku innej osobie, choćby się najsilniejszą miłością i najtrwalszą piastowało dla innej. Przytem Wolfgang miał szlachetne serce, do współczucia i litości skłonne, więc gdyby Ellinor nawet zupełnie nieznana mu była, byłby powziął współczucie dla kobiety, mającej takiego męża, jakim był hrabia de Rivallier. Zamyślony, smutny, ponury, nie widział nic dokoła siebie, nie pociągała go wspaniałość parku, nie zajmowało wykwintne towarzystwo, przechadzające się po nim.

Widział to Dossenau, zachmurzył się i rzekł opryskliwie:

— Nadal będę się już liczył cośkolwiek z pańskimi przeczuciami. Miałeś pan słusność, lekając się dzisiejszej wycieczki do Monte Carlo. Byłoby lepiej dla Heleny, gdybyśmy tu byli nie przyjeżdżali. No, wracajmy do domu.

Musieli przejść koło hotelu paryskiego, więc zwrócili się w tę stronę. Już byli blisko, gdy dostrzegli niezwykle ruch przed hotelem. Kręciła się tu służba kasynowa, do hotelu wszedł prędko urzędnik policyjny, a na twarzy portyera i hotelowej służby widać było zaniepokojenie.

— Tu się coś stało — rzekł Dossenau — albo jakiegoś oszusta schwytano, albo też padło życie ludzkie ofiarą tej nieszczęsnej jaskini łotrostwa.

— Niestety, zgadłeś pan — odezwał się jakiś nieznajomy w języku niemieckim. W tej chwili zastrzelił się tu jakiś młody człowiek, wróciwszy prosto z kasyna. Był to Francuz, który w ostatnich dniach przegrał ogromne sumy.

— Hrabia de Rivallier — wyrzekli równocześnie Dossenau i Wolfgang.

W tej chwili popędził Wolfgang do hotelu.

— Gdzie są zwłoki nieszczęśliwego — zapytał Wolfgang gorączkowo portyera, ale ten ruszył ramionami z dobrze udanym zdziwieniem i odpowiedział obojętnie:

— Pan się widocznie pomylił, tu żadnych zwłok niema.

Na to nadszedł Dossenau i szepnął Wolfgangowi:

— W ten sposób niczego się nie dowiesz. Tu przyjęto zasadę, aby nie mieć wesołości i zatajać wszystko, co zbrodnią jest, lub nieszczęściem. Służba nie może niczego zdradzić pod grozą utraty miejsca. Tu trzeba w inny sposób przemawiać.

I Dossenau zbliżył się do portyera, wsunął mu nieznacząco kilka sztuk złota do ręki i rzekł cicho:

— Musimy widzieć, a to wam nic nie zaszkodzi. Owszem, nawet pomódz może.

Skutkiem tej brzęczącej rozmowy z portyerem,

znaleźli się obaj na miejscu katastrofy. W pokoju hotelowym leżał na łóżku hrabia de Rivallier, z rozwartymi oczyma, z ironicznym uśmiechem, na ustach zastygłym. Na prawej skroni smuga krwi i czarna plama od rewolwerowej kuli. W skostniałej ręce trzymał jeszcze rewolwer. Na stole było jeszcze nakrycie z obiadu i dwie wypróżnione butelki szampana, a na posadzce, tuż przy łóżku, na którym leżały zwłoki, rozłuczony kieliszek. W pokoju był lekarz, który stwierdził śmierć. Było dwóch urzędników policyjnych, dwóch oficyalistów z rulety i właściciel hotelu.

— To on — rzekł ponuro Dossenau.

Słyszał to urzędnik policyjny.

— Pan go znałeś?

— Znałem.

— Nazywał się hr. de Rivallier?

— Tak panie.

— Czy krewny pański?

— Nie.

— Czy możesz pan podać jakie szczegóły?

— Żadnych, tylko zwracam uwagę, że należałoby zawiadomić o nieszczęściu żonę, mieszkającą w Condamine.

— Żonę! — zawołał jeden z oficyalistów rulety — a to prawdziwe nieszczęście! Teraz się już nie uniknie rozgłosu.

Również właściciel hotelu przeraził się, gdy to usłyszał. Jeden z urzędników policyjnych, rozpatrując się po stole, dostrzegł pod serwetą bilet w kowercie, zaadresowany ółwkiem do hrabiny de Rivallier w Condamine. Był to ten sam bilet, który Wolfgang podniósł z posadzki w sali gry.

— Trupa usunąć natychmiast — rozkazywał urzędnik policyjny — i przenieść go do hotelowej kostnicy, a żonę zawiadomić natychmiast z urzędu.

Wolfgangowi wydało się to wszystko takie nieludzkie, takie bezlitosne, że drżał cały z oburzenia. „Żonę zawiadomić się z urzędu“, wydało mu się czemś wprost barbarzyńskim. Taką straszną wieść należałoby przynieść ze współczuciem, z delikatnością, oględnie, po ludzku, a nie szorstko, urzędownie, bez miłosierdzia dla kobiecego serca, bez względu dla wdowy w żałobie. Więc zwrócił się do Dossenaua i rzekł doń po cichu:

— Pospieszmy tam czemprędzej, aby tę nieszczęśliwą przygotować na cios, który w jej serce uderzy.

— Co? Pan masz zamiar pójść do tej kobiety? — rzekł Dossenau z gniewem.

— Ależ to jest obowiązkiem ludzkości! W takiej chwili zapomina się o wszelkich urazach.

— Zdaje mi się, że pan nie teraz dopiero zapomniawszy o wszelkich urazach, bo spostrzegam ze zdumieniem, że już od kilku godzin interesujesz się tą osobą i bardziej i więcej, niżby należało i wypadało przez wzgląd na Helenę. Czy może zaprzeczysz temu, panie doktorze?

I słowa i ton mowy uraziły Wolfganga, to też krew uderzyła mu do głowy i o mało nie wybuchnął gniewem. Ale opanował się i odpowiedział spokojnie, ale dobitnie:

— Nie pora teraz i nie miejsce po temu, a bym panu na ten dotkliwy zarzut odpowiadał, natomiast ośmielam się zapytać, czy pan zechce mi towarzyszyć do Condamine?

— Nie — panie. Nie chcę brać udziału w tem, co uważam za niestosowne i niewłaściwe. W imieniu pańskiej narzeczonej, której obecnie ojca zastępuję, żądam od pana stanowczo, ażebyś swojego zamiaru zaniechał. Jeżeli ci na tem zależy, aby pani de Rivallier dowiedziała się o nieszczęściu nie w drodze urzędowej, a więc zimnej i bezwzględnej, uczynię chętnie tę ofiarę i pojedę do niej, a pan tymczasem będziesz czekał na mnie na dworcu w Monte Carlo.

Ta podejrzliwość, ta nieufność Dossenaua oburzały Wolfganga. Zdawało mu się, że to jakiś zamach na jego godność osobistą, że to obelga, rzucana jego charakterowi. Żywy, nawet porywczy z usposobienia, o mało nie wybuchnął gwałtownie, ale opanował się natychmiast przez wzgląd na sędziwy wiek człowieka, który mu tyle okazał przyjaźni i życzliwości, który był takim dobroczyńcą Heleny i jej ojca. Wrodzona dobroć serca i staranne wychowanie również od wybuchu go powstrzymały. Przyjął propozycję Dossenaua i rzekł zupełnie spokojnie:

— Najserdeczniej dziękuję, że pan tak łaskawie spełni obowiązek miłosierdzia chrześcijańskiego.

Dossenau poszedł, podpierając się szczydłem, a Wolfgang usiadł w poczekalni dworca i czekał zrazu spokojnie, ale wnet zaczęła go ogarniać nuda, więc wyszedł przed dworzec i przechadzał się niecierpliwie. Ale i to go już nużyć zaczęło, więc